Piotrek Rogoża

Klemens i kapitan ZŁO

Powergraph, Warszawa 2011

ilustracje: Tomek Lew Leśniak

Copyright © 2011 by Piotrek Rogoża
Copyright © 2011 by Powergraph
Copyright © 2011 for the cover and illustrations by Tomek Lew Leśniak
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redakcja: Michał Cetnarowski

Korekta: Maria Aleksandrow

Skład i łamanie: Powergraph

Projekt graficzny i okładka: Tomek Lew Leśniak

Wyłączny dystrybutor:
Firma Księgarska Olesiejuk Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. 22 721 30 00, fax 22 721 30 01
www.olesiejuk.pl, e-mail: fk@olesiejuk.pl

Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.
ul. Cegłowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel./fax: 22 834 18 25, 22 834 18 26
www.powergraph.pl, sklep.powergraph.pl, e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-61187-23-3

Printed in Poland, EU

1

Nad Gimnazjum Numer Jeden imienia Stanisława Lema gromadziły się czarne chmury. W przenośni i dosłownie: skołtuniona warstwa chmurzysk zakryła całe niebo, ale zdawało się, że najciemniejsze i najgęstsze wiszą wprost nad szkołą, gotowe w każdej chwili opaść i niczym kurtyna zasłonić czcigodny przybytek. Możliwe, że właśnie na to liczyli uczniowie; chyba tylko łaskawy gest niebios mógł ich jeszcze ocalić przed furią dyrektora.

Dziedziniec wypełniał się, kolejne klasy stawały do apelu. Wychowawcy ustawiali uczniów w równe szeregi. Nie do pomyślenia był najmniejszy przejaw niesubordynacji. Dyrektor Piekutko nie tolerował nieporządku, a wszystko, co nietolerowane przez dyrektora Piekutkę, było kategorycznie zabronione.

Nastrój panował raczej pogrzebowy, ale nie mogło być inaczej. Rok szkolny, który wielkimi krokami zbliżał się do końca, nie należał do szczególnie udanych.

Po raz pierwszy w historii żadnemu z uczniów nie udało się zakwalifikować do finału olimpiady przedmiotowej – zawiódł nawet pupil i prymus Donald, matematyczny geniusz, o którym krążyła plotka, że jest tak mądry, bo w dzieciństwie zjadł mikroprocesor. Co gorsza, w rankingu najlepszych szkół, opublikowanym przez duży dziennik, gimnazjum zajęło dopiero siódme miejsce w mieście. W latach poprzednich kilka razy udawało się zająć lokaty drugą i trzecią, wszyscy liczyli w końcu na prowadzenie. Ujrzawszy ów ranking, dyrektor miał jakoby przybrać na twarzy kolor dojrzałego pomidora, wyrwać z gazety odpowiednią stronę i ją zjeść – przynajmniej tak twierdzili świadkowie, bliźniacy Pająkowie, którzy przebywali akurat w gabinecie na dywaniku. Gwoździem do trumny okazał się rozegrany kilka dni później turniej piłkarski, podczas którego reprezentacja gimnazjum broniła złotego medalu. Dyrektor publicznie założył się z pryncypałami pozostałych szkół, że jego drużyna wygra rozgrywki i nie straci nawet gola – tymczasem poniosła same porażki, w tym kompromitującą 0:4, i odpadła z turnieju, zajmując ostatnie miejsce.

Trudno się więc dziwić ponurej atmosferze, panującej na placu. Spoglądano z niepokojem to na pustą jeszcze mównicę, to na niebo. Zacznie padać, czy nie? Jak na złość, z chmur nie chciała spaść ani kropla i wszystko wskazywało, że nie ma nadziei na ratunek, a apel rozpocznie się planowo.

Co za bzdura, pomyślał Klemens. Jeśli na kimś nie robiła wrażenia ani pogoda, ani perspektywa wysłuchiwania gniewnych krzyków dyrektora, to chyba tylko na nim. Stał razem ze swoją klasą dokładnie

naprzeciw mównicy, z rękoma wbitymi w kieszenie i wzrokiem utkwionym w czubki butów. Prawdę mówiąc, gdyby podczas apelu miał zostać ogłoszony koniec świata, Klemensa niespecjalnie by to obeszło. Dzisiaj i tak był najczarniejszy dzień jego życia.

Klemens uświadomił sobie bowiem dobitnie i z całą mocą, że prędzej w szkole wylądują kosmici, niż on umówi się z Sandrą.

Świadomość ta spłynęła na niego godzinę wcześniej, podczas długiej przerwy, gdy z bijącym sercem wyczekiwał przed szkolnym sklepikiem. Plan obmyślił, zdawałoby się, w najdrobniejszych szczegółach, i nic nie zapowiadało tak dramatycznego obrotu sprawy – nawet nie tyle porażki, ile wstydliwego walkowera! Od pewnego czasu żywo zainteresowany Sandrą, bez dwóch zdań najśliczniejszą dziewczyną w szkole, Klemens zaobserwował, że codziennie po trzeciej lekcji owo blond zjawisko z pierwszej C udaje się do sklepiku i kupuje jogurt. Czasem sama, czasem w towarzystwie koleżanek; nie udało mu się tu wyłapać żadnej prawidłowości.

Zagadanie Sandry w obecności psiapsiółek nie wchodziło w grę – wymagałoby brawury dalece przekraczającej jego możliwości. Najprostszym wyjściem wydawały się więc czaty i wkroczenie do akcji przy sprzyjających warunkach. Dopóki plan pozostawał w fazie teoretycznej, Klemens wyobrażał to sobie trochę jak film przyrodniczy o gepardach: przyczajony drapieżnik cierpliwie wyczekuje, aż ofiara odłączy się od stada, i wówczas przeprowadza skuteczny atak. Przejście w fazę praktyczną wykazało niestety, że

jeśli ktoś jest tu ofiarą, to najwyżej on sam, i że żaden z niego gepard. Raczej tchórzliwy zając.

Gdy tylko dzwonek obwieścił początek długiej przerwy, Klemens udał się przed sklepik i z wyćwiczoną, obojętną miną stanął przy oknie. Johnny Depp mógłby pozazdrościć. Oparty o parapet, oczekiwał nadejścia Sandry. Plan zakładał odwrót, jeśli dziewczyna pojawi się z obstawą, i ponowienie próby następnego dnia: spokojnie, metodycznie, do skutku. Tymczasem Sandra wyłoniła się zza zakrętu sama, i Klemens wpadł w panikę. Tak jak stał, zastygł sparaliżowany.

W myślach było to takie proste! Podejść, uśmiechnąć się. Powiedzieć, że lubi takie same jogurty, zapytać, czy też zbiera naklejki spod etykietek. Zrobić dobre wrażenie. Spokój, luz, opanowanie. Pełny profesjonalizm. Jak w serialach. Nie mogło się nie udać.

Sandra zniknęła w sklepiku, a Klemens nie zdołał nawet ruszyć się z miejsca. Poczuł pot na skroniach. Weź się w garść, powiedział sobie. Grunt to zachować spokój. Być może to jedyna szansa!

Minęła chwila, Sandra wyszła, niosąc jogurt truskawkowy, lekkim krokiem przeszła tuż obok – Klemens, choć ku własnemu przerażeniu koncentrował się głównie na tym, żeby nie zemdleć, nie mógł nie zauważyć, jak ślicznie słońce rozświetla jej włosy – i zniknęła za załomem korytarza. Dopiero wtedy udało mu się poruszyć ręką; wyglądało to, jakby odganiał muchę. Ze wstydem zamknął usta, gdy tylko dotarło do niego, że stoi bez sensu z rozdziawioną gębą.

Można się spierać, co było bardziej pochmurne: niebo czy myśli Klemensa. Klęska okazała się druzgo-

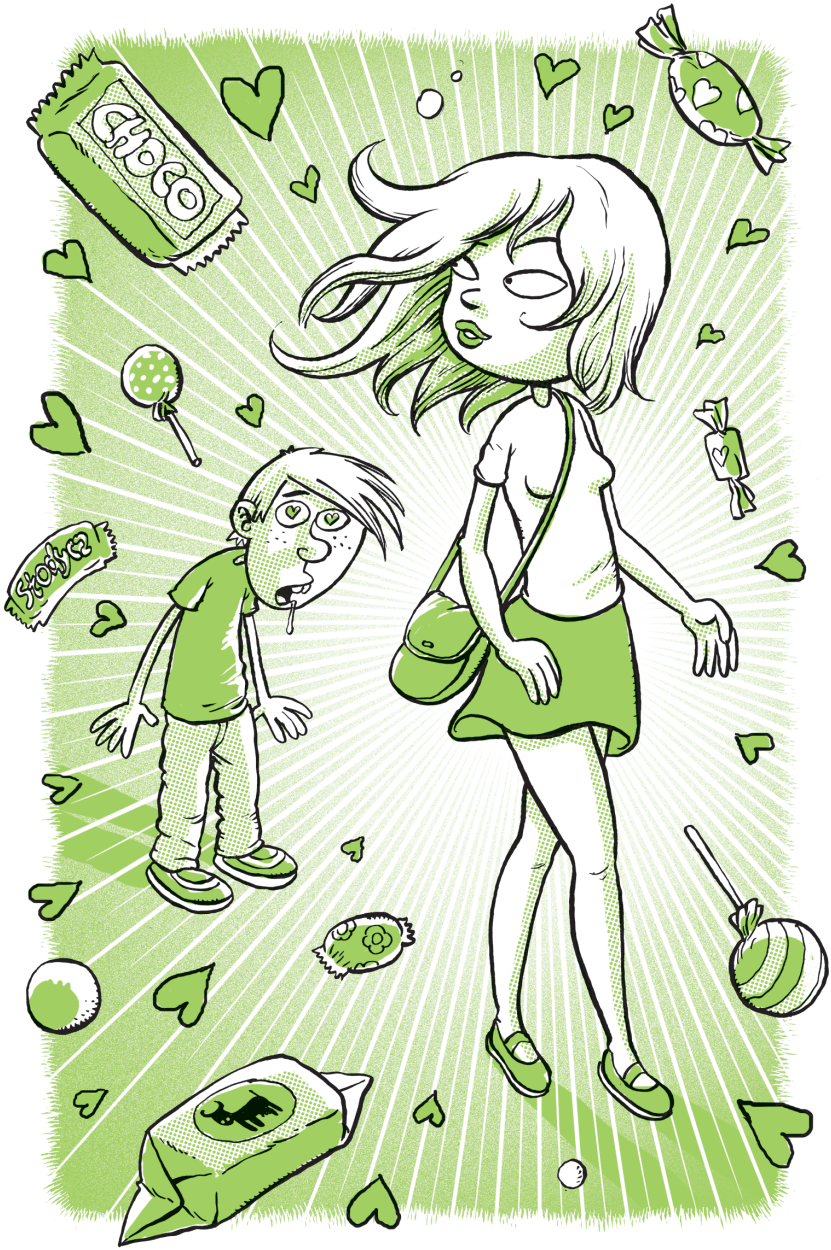
CHOCO
Choco

cąca i Klemens wiedział już, że o Sandrze może zapomnieć. Nie dowie się, czy przyjęłaby jego zaproszenie na lody, bo przecież zabraknie mu odwagi. Nawet gdyby jakimś cudem udało mu się coś wyjąkać – nie ma szans, nie ma litości. Kto potraktuje poważnie faceta, który ma elementarny problem z odezwaniem się do wybranki? Rok szkolny skończy się za miesiąc, a w wakacje może się zdarzyć wszystko. Takie dziewczyny, to oczywiste, nie będą długo same. Plotki głosiły, że już teraz wokół Sandry kręcą się licealiści. Powoli dochodził do wniosku, że jedyne, co mu pozostało, to raz na zawsze zapomnieć o blondynce z pierwszej C. Paraliż, który spłynął na niego na dużej przerwie, bez wątpienia był znakiem niebios.

Tymczasem na placu pojawił się dyrektor Piekutko. Z dumnie zadartym nosem wyglądał jak łysiejący gnom. Klemens nie był szczególnie wysoki, a i tak przerastał dyrektora o głowę. Jak zwykle u boku pryncypała dreptał zastępca, pan Dziamdziala od sztuki. Pomógł dyrektorowi wdrapać się na mównicę, ustawił mikrofon.

— Droga młodzieży! — Z głośników popłynął skrzekliwy głos. — Zebraliśmy się tu na apelu, aby wspólnie zastanowić się nad kierunkiem, w którym zmierza nasza szkoła. Bo chyba zgodzimy się, że jest źle!

Dziwnie spokojny początek, pomyślał Klemens. Ciekawe, ile tak wytrzyma.

— Wyniki osiągane w bieżącym roku przez naszych uczniów są dalekie od oczekiwań — kontynuował Piekutko. — Czy to wina kadry pedagogicznej? Nie wydaje mi się. Zatrudniamy przecież najlepszych nauczycieli! Czyja to więc wina?

Nad dziedzińcem zapanowała cisza. Zerwał się wiatr.

— Czyja to wina? Młodzieży, pytam was! Czyja?

Wychowawcy podpowiedzieli teatralnym szeptem:

— Nasza wina.

— Nasza wina — powtórzyli bez przekonania uczniowie.

— Ale dlaczego tak niemrawo? Młodzieży!

Zabrzmiało więc chóralne:

— Nasza wina!

— Cieszę się, że się zgadzamy — zaskrzeczał dyrektor. — Musicie wiedzieć, że tak źle nie było jeszcze nigdy! Jestem dyrektorem tego gimnazjum od dziewięciu lat, wcześniej przez lat piętnaście kierowałem szkołą podstawową, i nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek musiał się tak wstydzić! Każdy, powtarzam, każdy z was jest zobowiązany ciężko pracować na rzecz dobrego imienia swojej szkoły. Tymczasem co? Lenistwo! Bumelanctwo! Bumelanctwo, powiadam! — Piekutko aż zadrżał na brzmienie znienawidzonego słowa. — Postawa, której nie można tolerować! Niniejszym, uwaga, udzielam wszystkim zebranym tu uczniom oficjalnej nagany!

Znów zapadła cisza, zmącona jedynie brawami Dziamdziali.

Wiatr wiał coraz mocniej.

— Tradycją naszego gimnazjum są wycieczki, organizowane w ostatnim tygodniu roku szkolnego. Wydaje się jednak oczywiste, że na taką nagrodę nie zasłużył nikt. W związku z tym odwołuję wszystkie zapowiedziane wyjazdy!

WITAM WAS, MIESZKAŃCY WYMIARU POMIĘDZY.

WITAM UCZNIÓW I NAUCZYCIELI!

Wśród uczniów rozszedł się pomruk niezadowolenia. Klemens pokiwał głową.

Dyro się rozkręcał:

— Ha! Czyżbym słyszał dezaprobatę? A co myślicie? Czy może ktoś uważa, że swoją postawą zasłużył na nagrodę? Co? Cisza? Nikt nie podzieli się swoimi przemyśleniami?

Pomruk przybrał na sile. Klemens zdziwił się, bo według standardów dyrektora zakrawało to już na zuchwalstwo. Zuchwalstwa zaś, rzecz jasna, pod żadnym pozorem tolerować nie można. Rozległy się nawet pojedyncze okrzyki.

— Kleszczu. — Ktoś z tyłu trącił go w ramię. — Ja cię pierniczę, patrz na to!

Klemens oderwał wzrok od swoich adidasów. Rozejrzał się – wszyscy spoglądali w niebo. Podążył za ich spojrzeniami.

Chmury nad szkołą kotłowały się, przelewały jak na przyspieszonym filmie. Bure kształty wirowały, podświetlane od tyłu niesamowitymi rozbłyskami. Nigdy nie widział czegoś podobnego.

— A cóż to ma znaczyć? — osłupiał dyrektor. — Na mnie patrzeć! Mnie słuchać!

Ale nikt nie zwracał już na niego uwagi. Fenomen pogodowy zaprzątnął wszystkich zebranych. Chmury wirowały, szybciej i szybciej, wokół jednego ciemnego punktu, jak woda spływająca w wannie. Rozbłyski przybierały na sile.

— Tornado…? — zapytał ktoś niepewnie.

Piekutko, który oczywiście ani myślał spojrzeć za siebie, poczerwieniał na twarzy. Bez namysłu zdjął but i zaczął tłuc nim w blat mównicy. Klemens miał

wrażenie, jakby kiedyś już coś takiego widział, nie pamiętał tylko gdzie.

— Mnie macie słuchać! Mnie!

Czarny punkt, wokół którego wirowały chmury – wciąż coraz szybciej, tak że zlały się już w gładką niczym budyń masę – zaczął rosnąć, poszerzać średnicę, aż wreszcie przybrał postać szerokiego otworu, w którym zmieściłaby się chyba cała szkoła. I gdy zdawało się, że nic bardziej niezwykłego wydarzyć się już nie może… w otworze tym pojawił się okręt.

— W jeża pyszczek!

Przypominał piracką korwetę z zestawu klocków lego, wielokrotnie powiększoną – i podczepioną do balonu o wydłużonym kształcie. Okręt lśnił srebrzyście, mienił się w świetle błyskawic.

Niejako wbrew sobie, Klemens przyznał, że jednak coś jeszcze może dziś zrobić na nim wrażenie.

Okręt powoli i majestatycznie zaczął opadać. Piekutko wreszcie zauważył, co się dzieje. Stał na podwyższeniu z zadartą głową, zszokowany jak wszyscy inni, dopóki Dziamdziala nie złapał go za rękę i nie odciągnął na bok. Odbiegli razem, a okręt dostojnie osiadł na środku dziedzińca, miażdżąc przy okazji mównicę.

— Ja cię nie mogę… — rozległo się za plecami Klemensa. — I co teraz?!

— Nie wiem. Uciekajmy czy coś…

Klemens nie mógł zdecydować, jak powinien się zachować. Co się robi, gdy na twoich oczach ląduje statek, który właśnie przyleciał przez dziurę w niebie? Chyba nie od rzeczy byłaby panika… Ale zauważył

z niejakim zdziwieniem, że jedyne, co czuje, to zaciekawienie.

Akcja tymczasem nie zwalniała. Od burty okrętu oderwała się szalupa, przypominająca wielką łupinę orzecha, i ruszyła na linach w dół. A w jej środku... Klemens przetarł oczy.

Trudno powiedzieć, która z trzech postaci była najdziwniejsza. Gdyby kazano mu decydować na szybko, wskazałby niemal idealnie kulistego grubasa, pozbawionego nóg, unoszącego się za to w powietrzu niczym balon, na który ktoś naciągnął marynarską koszulę. Ręce sterczały mu na boki jak gałązki, a w jednej przybysz dzierżył zakrzywioną szablę. Prawdę powiedziawszy, niewiele ustępował mu wiercący się obok człowieczek w skórzanym kubraczku, tak chudy, że gdy na chwilę stanął bokiem, niemal zniknął. Miał długie, przylizane do czaszki włosy i zakręcone wąsy; wydawał się bardzo niespokojny.

Między nimi stał wysoki typ w długim płaszczu, nieruchomy, z dumnie skrzyżowanymi na piersi rękoma. Wzrostu dodawała mu jeszcze kapitańska czapka z wymalowaną trupią czaszką. Pociągłą twarz okalała gęsta broda i strąki czarnych loków, jedno oko zasłaniała opaska. Wizerunku dopełniała papuga siedząca na ramieniu. Właściwie, na tle towarzyszy wyglądał niemal pospolicie.

Szalupa trzasnęła o ziemię, chyba trochę za mocno. Załoga straciła równowagę, grubas-balon zakolebał się niepewnie. Usłyszeli jego basowe mruczenie:

— Mówiłem, szefie, że to zły pomysł. Nie mogliśmy w latającym talerzu?

Uczniowie popatrzyli po sobie. Wychowawczyni Klemensa powtarzała bez większego przekonania:

— Nie wierzę… Po prostu nie wierzę…

Wszystko wskazywało jednak, że sceny te rozgrywają się naprawdę. Kapitan wyskoczył z szalupy, kompani poszli w jego ślady, tylko grubas zahaczył o burtę i niemal fiknął salto. Stali we trzech, przyglądając się w milczeniu zgromadzonemu na apelu tłumowi. Za ich plecami, na pokładzie okrętu, widać było poruszenie. Z miejsca, w którym stał, Klemens mógł dostrzec tylko wielkie głośniki, przesuwane – no kurczę, niech mnie ktoś uszczypnie – przez potężnego mięśniaka o zielonej skórze. Każde z jego czterech muskularnych ramion było grubsze niż pień rozłożystego grabu rosnącego przy wejściu na szkolny plac.

Kapitan, jak się okazało, trzymał mikrofon. Podniósł go do ust – dłonie obleczone miał w czarne rękawiczki – i odchrząknął. Sprzęt nagłaśniający działał bez zarzutu, z głośników popłynął głęboki głos:

— Witam was, mieszkańcy Wymiaru Pomiędzy. Witam uczniów i nauczycieli! Widzę, że przybyliśmy w samą porę.

Nagle przerwał. Oto podbiegł do niego dyrektor Piekutko, śmiesznie przebierając krótkimi nóżkami. Na jego twarzy gnoma malowało się najwyższe oburzenie. Wyrwał mikrofon kapitanowi – ten wyglądał na całkowicie zaskoczonego – i zaskrzeczał:

— Przepraszam najmocniej! Co tu się wyprawia! Kim panowie są?! Co panowie sobie myślą?! To jest mój apel. No przecież mój!

Dziamdziala dawał rozpaczliwe znaki, zachęcając zwierzchnika do wycofania się na bezpieczne pozy-

cje, ale nie miał szans. W Piekutce zawrzał bojowy duch.

— Jestem dyrektorem tej szkoły i wypraszam sobie podobne zachowanie! — kontynuował, gestykulując coraz bardziej żywiołowo. — Czy byli panowie umówieni? Nie przypominam sobie! Byliby panowie łaskawi się wytłumaczyć?!

Kapitan łagodnie, ale zdecydowanie odebrał Piekutce mikrofon. Dyrektor wyglądał przy nim jak ujadający ratlerek.

— Przybywamy z bardzo daleka. Doszły nas wieści o nadmiarze energii, rozpierającej uczącą się tu młodzież, co niestety rzutuje na osiągane przez szkołę wyniki. Nie mogliśmy pozostać bierni. Zapadła decyzja o przybyciu na miejsce i przyjrzeniu się sprawie z bliska.

Aby ponownie odebrać mikrofon, Piekutko musiał podskoczyć.

— To moja szkoła i sam poradzę sobie z jej problemami! Owszem, wyniki nie są ostatnimi czasy najlepsze — zmieszał się — ale to wewnętrzna sprawa gimnazjum. Co panom do tego? Czy panowie są z kuratorium…?

Kapitan znów przejął mikrofon. Przekazał urządzenie grubasowi. Zaczynało to przypominać bitwę raperów, pokazywaną czasem w MTV.

— Działamy z ramienia Międzywymiarowej Komisji do spraw Edukacji — zadudnił unoszący się nad ziemią grubas. — Naszym celem jest reformowanie i restrukturyzowanie szkół, jeśli tylko zachodzi marnotrawstwo energii, rzecz jasna niezależnie od ich położenia w kontinuum. Zdajemy sobie sprawę z niskiej